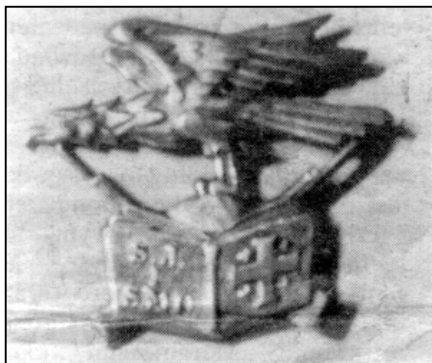


NAZARETANKI



Odnaka SJ i SMO „Zryw do Lotu”

Szkoła, o której chcę mówić, była szkołą niezwykłą. Jej wychowanki wywodziły się z grona wygnańców syberyjskich, skazanych na śmierć przez totalitarny system bolszewicki. Gdy wojska sowieckie najechały polskie ziemie kresowe 17 września 1939 roku, wówczas zaczął się walić ich świat beztróskiego dzieciństwa. Deportacje w głąb bolszewickiej Rosji, zapoczątkowane 10 lutego 1940 r., były początkiem ich dwuletniej gehenny. Wojna wyrzuciła je z domów rodzinnych, a atak Niemiec na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 roku przyniósł upragnioną odmianę losu na lepsze. Nie natychmiast, bowiem umowa pomiędzy Rządem Rzeczypospolitej w Londynie i Rządem ZSRR została zawarta w Londynie 30 lipca 1941 roku. Uzupełnieniem była konwencja wojskowa podpisana w Moskwie 14 sierpnia owego roku. Jej następstwem była tzw. „amnestia” i początek tworzenia Armii Polskiej w Związku Sowieckim pod dowództwem gen. dyw. Władysława Andersa. Z tą chwilą rozpoczął się masowy wyjazd Polaków z miejsc ich zesłania: posiołków, więzień, obozów pracy niewolniczej do organizujących się oddziałów wojsk polskich: wpieryw w Tockoje, Tatiszczewie i Buzułuku; a po przesunięciu

KRESOWE STANICE

ich na południowe połacie Związku Sowieckiego m.in. do Guzar, Ługowoje, Wrewojskoje, Dżałał-Abad, Gorczakow i innych miejscowości. Dowództwo wojsk polskich znajdowało się w Jangi-Jul. Tu został wydany rozkaz l.dz.6344 z dnia 20 maja 1942 r. powołujący do życia tę szkołę. Nosiła ona miano Szkoły Junacek. Jej miejscem postoju był Karkin-Batasz, w języku uzbeckim nazwany Doliną Śmierci. Śmierć bowiem zbierała obfite żniwo wśród wynędzniałych dzieci, pomimo nadludzkich wysiłków Hanny Miłkowskiej, Waławy Całowej i Teodory Sychowskiej, która objęła dowództwo nad Szkołą Junacek.

Szkoła rozrastała się stopniowo, wzmacniana przez jednostki junacek w Kitabie, Wrewojskoje i Guzar. W chwili wyjazdu do Krasnowodska nad Morzem Kaspijskim, 25 sierpnia 1942 r., było już w szkole junacek 1036 dziewcząt. Już w Persji, w Pahlevi, przeprowadzona została pierwsza reorganizacja. Kadra, w liczbie 83 osób, pod przewodnictwem T. Sychowskiej, trzymała nadzór i opiekę wychowawczą nad 929 junaczkami. W październiku roku 1942, Szkoła Junacek przetransportowana została do Teheranu, gdzie uległa drugiej reorganizacji: młodsze wiekiem dziewczęta przekazywano pod nadzór Delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej, lokując je w szkole cywilnej w Ishafanie; pewna ilość została zwolniona do cywila, resztę przeniecono do Palestyny.

Pierwszym miejscem postoju była Gadera. Tutaj Szkoła Junacek zostaje przemianowana na Szkołę Młodszych Ochotniczek i umieszczona w pobliskim obozie Rehovoth. Tutaj też rozpoczęła się normalna nauka szkolna, na wszystkich poziomach: w szkole powszechnej, gimnazjum ogólnokształcącym, liceum humanistycznym. Z upływem czasu, w innych miejscach postoju Szkoły Młodszych Ochotniczek w



N.W. gen Sosnkowski wizytuje SMO.Nazaret

Quastinie, Jeninie i Nazarecie organizowane zostają: Gimnazjum Kupieckie, II Gimnazjum Ogólnokształcące, Liceum Pedagogiczne i Liceum Administracyjno-Handlowe. Uczennice zdają matury, odchodzą do służby transportowej, sanitarnej i opieki społecznej w różnych jednostkach wojska polskiego: w Egipcie, Włoszech i Wielkiej Brytanii przyczyniając się do sukcesów wojskowych Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Cieszą się uznaniem. Ma powód do dumy komendantka mjr T. Sychowska i dyrektor Maria Kościałkowska. Podobnie czują się dumni wszyscy wykładowcy, łącznie z dr Wit Tarnawskim i jego zespołem sanitarnym, bo wielka ich zasługa, że przywrócili życiu schorowane dziewczęta tak niedawno wyglądem przypominające szkielety. Jakże więc cieszyli się z pierwszych sukcesów akademickich na Uniwersytecie w Bejrucie; jak wielkie mieli plany na czas powrotu do kraju. Poznały piekło zniewolenia, poznały wartość wolności. Będą jej strzec zawsze i wszędzie.

Wdzięczne były Naczelnemu Wodzowi Władysławowi Sikorskiemu za dar

wyzwolenia. Darzyły też wielkim przywiązaniem gen. W. Andersa za wywiezienie ich z domu niewoli. Jak bardzo czuły się zobowiązane żołnierzowi polskiemu za opiekę, za rozślawienie chwały oręża polskiego. Dbaly o cześć Polki, nie chciały przynieść swoim matkom wstydu. Z dnia na dzień blakły zmyry przeszłości, ale straszyły wieści nadchodzące z Jałty. Dlaczego? Co za podły świat! - wołały zawiedzione...

A zegar historii biegł naprzód. Pod koniec lipca 1947 roku wypłynęły z Port-Said w Egipcie, a 5 sierpnia tegoż roku ich statek przybił do brzegów Wielkiej Brytanii. Było ich na pokładzie 404 zaś kadry 59 osób. Już w Liverpool zrozumiały, że gotuje się dla nich twarde życie. Obóz w Foxley był ich ostatnią wspólną przystanią, której z za światów orędowną Wanda Malczewska, wspaniała opiekunka i patronka Szkoły Młodszych Ochotniczek. Jeszcze zdołano doprowadzić do ostatniej matury w Foxley, kończąc rok szkolny 29 lutego 1948 roku. W ogólnym rachunku stwierdzono fakt uzyskania 466 świadectw dojrzałości, 645 świadectw małej matury, 235 świadectw

szkoły powszechnej. Do służby w jednostkach Wojska Polskiego przeszło 439 uczennic SMO.

...Dziś – z dalekiej, młodzieńczo-wojennej przeszłości, z pożółkłych fotografii i postrzępionych kartek pamiętnika, pisanego w starym wojskowym kalendarzyku - przywodzę Cię do teraźniejszości i ożywiam na nowo ze swojej wyobraźni „Nazaretanko” z SMO. Podążam znów szlakiem Twojej wędrówki przez egzotyczne kraje i odległe kontynenty: od bieli ścian rodzinnego domu tonącego w zieleni na dalekiej Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, Podolu smagłym, bujnym Wołyniu, romantycznym, pełnym poezji Polesiu czarownym, aż do bezmiernych przestrzeni Kazachstanu i Syberii; i tej szarej lepianki uzbeckiej z pierwszych dni wolności - w mundurze.

Wędruję z Tobą poprzez kolejne etapy podróży górskiej Persji, postoje pod namiotem lub ciemnym niebem; poprzez zamieć, pustynnego hamsinu, kraje dawnej Asyrii i Sumerii, po skapane w słońcu baraki Rehowothu, Jeninu, wreszcie mury jasnych klasztorów w Nazarecie.

Ożyłaś tutaj całą gamą kolorów i zachowań młodego życia: skrzącym się wzrokiem, perlistym śmiechem dziewczęcym, szczęściem bezgranicznej radości, które było w Tobie niezmiernie. Doznawałaś wrażeń nieprzemijających: podziwiałaś majestat cedrów spokojnego Libanu, starożytny Damaszek, dumiałaś nad ruinami tragicznego Baalbecku. Wzdłuż i wszczep przemierzałaś owe ziemie dawnej Fenicji, Ziemię Świętą, sycąc swoje oczy pozostałościami biblijnych czasów, rzymskich podbojów, arabskich najazdów, wojen krzyżowych.

Ileż to razy, w spiekocie palestyńskiego słońca zapuszczałaś się w tajemne labirynty ulic Betlejem, Jerycha, Jerozolimy i Jaffy - gdzie w całej okazałości wschodniego

życia, czas jakby się dla Ciebie zatrzymał. Czasem twarz Twoją owiewał wiatr dalekich pustyni Transjordanii, gdy z Góry Tabor błądziłaś wzrokiem po niekończących się pagórkach i wzgórkach, ciągnących się hen, aż po odległą Tyberiadę i leżące w gruzach Kafarnaum, miasto gigantycznych budowli. Ze stoków zielonej Góry Karmel śledziłaś rozległe wody Morza Śródziemnego, rozpostartą w dolinie Hajfę, czerniejącą u krańca zatoki Akko - dziedzińcy króla Baldwinia i pobliski Atlith - miejsce licznych spotkań, nieodwzajemnionych uczuć i spojrzeń, młodzieńczych rozczarowań. To tutaj, w tej małej zatoczce, na poły jeszcze sennej, w brzaskach wschodzącego słońca jej wody dawały ukojenie Twoim zmęczonym ramionom, gdy płynęłaś ku bielejącym w oddali ruinom zamku krzyżowców. Z owych wędrówek wracałaś do swojej „nazaretańskiej przystani” szczęśliwa i beztroska, w pełni nadziei na przyszłość rysującą się marzycielsko w skrytości serca, w ciągłym upojeniu urodą życia.

Kusiły Cię ustawicznie nowe przestrzenie. Starożytny Kair czarował Cię wschodnim urokiem, wabiła historią Aleksandria, miasto zdradliwej Dalili i boskiej Kleopatry. Szukałaś śladów Aleksandra Macedońskiego, zdobywcy helleńskiego imperium, zadziwiającego Cię odwagą. Urzekł Cię kalif Omar odeszły w przeszłość faraonów i oczy Sfinksa, z których chciałaś wyczytać i osiąść tajemnicę dawnych wieków. O, młodości, któraś odeszła: czarowna, altruistyczna, pełna wielkich uniesień, smutków i radości; młodości, która wszystko wie, wszystko pokona i przemoże - jak dobrze jest znać twe imię...

Wielokroć spotykałem Cię na szlaku tej długiej wędrówki, nieświadomą ogromu młodzieńczych uczuć wzbudzanych w mym sercu; o jakież okrutną byłaś w swej chłodnej po królewsku wyniosłości. Moje niespełnione pragnienia serca, żale za czymś nieuchwytnym i drogim ponad wszystko

świecie - zamykałem w strofach wierszy nieskładnych, pisanych z myślą o Tobie.

*O czemuż Panie, Boże mój
Nie dasz mi szczęścia, ukojenia?
Dlaczego nie skruszy mnie widok Twój?
Twarz, rany i Twa krew Przemienienia.
O czemuż Boże, każesz mi
Lecieć w ciemności, w głąb otchłani?
Dlaczego dusza moja tkwi
Ukryta w pomrokach zarani?
Bom ja, o Panie, wciąż w walce z sobą
W męce i bólu - lecz w sercu z otuchą!
Poznać Cię pragnę i połączyć z Tobą
I chcę się schylić przed Tobą ze skruchą.*

*Dn. 20-3-1947
Na Górze Karmel*

Dawnym uczennicom Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie, z okazji ich ostatniej matury w tym mieście przeszło 50 lat temu, w maju 1947 r., te historyczne reminiscencje ofiarowuję. Niech mówią o dawnej przyjaźni i wspólnej tułaczce...

Autor

Leon Szymański

BYŁEM TAM

...Nie sposób zrozumieć i wyobrazić sobie tego, co my deportowani do łagrów syberyjskich przeżyliśmy i przeszliśmy. To był istny przemarsz przez ziemskie piekło - piekło głodu, chłodu, katorżniczej pracy, poniżenia. Żeby to zrozumieć i odczuć - trzeba było tam być... Wspomnienia z pobytu na Syberii poświęcam pamięci mojej Matki - której zawdzięczam swoje ocalenie oraz Tym, którzy zostali tam na „Nie-ludzkiej Ziemi” - na zawsze.

Moje wspomnienia nie będą szczegółowe, nie będzie dokładnych dat. Od tamtych dni minęło sporo czasu, a byłem wtedy małym chłopcem więc już niewiele pamiętam.

To było przed 55 laty w dniu 10 lutego 1940 r. o godz. 1⁰⁰ w nocy.

Urodziłem się 17.06.1932 r. na Kresach Wschodnich, w niewielkim powiatowym miasteczku o nazwie Nieświerz w województwie nowogródzkim. Wraz z rodzicami i czwórką rodzeństwa mieszkaliśmy w

osadzie Kuchczyce gmina Kleck. Tutaj mój ojciec - były legionista otrzymał przydział ziemi jako osadnik wojskowy. Część ziemi tj. 4,5 ha obsadził sadem, postawił zabudowania gospodarskie i dom. Gospodarzył na tej ziemi do dnia 17.09.1939 r. tj. do chwili wtargnięcia armii sowieckiej do Polski.

Pamiętam, że wczesnym rankiem, w obojętności gospodarskim zjawili się cofający się żołnierze KOP-u (Korpus Ochrony Pogranicza). Oni też przynieśli straszną wieść o napaści sowiektów na Polskę.

Po opatrzeniu ran i zaopatrzeniu w żywność udali się do pobliskiego lasu.

Wkraczające do miasteczka Kleck wojska sowieckie witane były przez miejscowych Żydów z wielkim entuzjazmem. Na czołgi rzucano kwiaty, skandowano „wyzwolicieli”. Oni też byli organizatorami władzy administracyjnej, sądowniczej, milicji.

To oni prowadzili rozprawy sądowe i skazywali ludzi. To oni od pierwszych godzin wspomagali aresztowania nauczycieli (kierownika szkoły p. Brodzińskiego), działaczy społecznych i osadników. Z opowiadań mamy wiedzieć, że część osadników jest w więzieniu w Nieświeżu i Baranowiczach, gdzie ich bito i torturowano (każda wymiana bielizny była mocno pokrwawiona). Do dnia dzisiejszego nieznane są ich losy.

Mój ojciec, ażeby uniknąć aresztowania ukrywał się, a następnie przeszedł zieloną granicę i znalazł się w Warszawie. Później ze starszym bratem brał udział w Powstaniu Warszawskim.

Był żołnierzem A.K.

Najeźdźcy od samego początku rozpoznały rabunek. Rabowano sklepy i wszystko, co nadawało się do wywiezienia. Zabierano meble, maszyny, rozbierano piece kaflowe, wydzierano futryny, zrywano podłogi. Niszczono i palono książki polskie, szczególnie wojskowe i o tematyce historycznej. Całą bibliotekę publiczną miasteczka Klecka spalono w dołach obok koszar wojskowych.

Nie próżnowali również miejscowi działacze żydowscy, białoruscy i chłopci. Chętnie zabierano inwentarz żywy, zboże, maszyny i inny dobytek. Broniących swojej własności często mordowano. Żyliśmy w ciągłym strachu. Każde nadejście nocy było dla nas torturą. Nocowaliśmy w polu (kartoflisko) leżąc w tzw. redlinach lub zbieraliśmy się po kilka rodzin w jednym domu. Barykadowaliśmy drzwi, okna i drżeliśmy

ze strachu do rana - czy przyjdą i podpalą dom a w nim ludzi.

Tak trwała do pamiętnej nocy – 10 lutego 1940 roku.

W tę noc na całych Kresach Wschodnich Polski głośnie walenie do okien i drzwi wyrwało ze snu setki rodzin.

Nasz pies Pikuś strasznie ujadł, noc była księżycowa, bardzo duży mróz (około 35° C), pod butami skrzyział śnieg.

Matka czuwała, a przez zamarznięte szyby widziała przesuwające się cienie. Byli to żołnierze NKWD i miejscowi działacze komunistyczni. Początkowo do mieszkania chciano dostać się podstępem, ale matka oświadczyła, „że drzwi nie otworzy”. Wtedy usłyszała głos wojskowego: „łamaj drzwi”. Masywne, dębowe drzwi pod uderzeniem łomu i bagnetów puściły. Matka sądząc, że to jest napad wbiegła do pokoju, gdzie my spaliśmy, obudziła starszego brata mówiąc: „Kazuniu napadli nas bandyci”. Brat szybko ubrał się, wskoczył w ojcowskie duże buty z cholewami, otworzył zapasowe wyjście od strony ogrodu i zaczął biec do sąsiadów po pomoc. Krasnoarmiejcy, którzy nie zdążyli jeszcze wejść do mieszkania zobaczyli, że ktoś z domu ucieka - zaczęli strzelać. Buty uwięzły w dużej zaspię śniegu, a brat szarpnąwszy się wyskoczył z nich i pobiegł dalej boso. Nim przybiegł do sąsiadów (około 900 m) odmroził nogi do kolan. Tam również było już NKWD. Tymczasem przez wyważone i rozbite drzwi do domu weszli krasnoarmiejcy. Jeden z nich przyniósł pozostawione w śniegu buty. Młody komandir posadził matkę na środku mieszkania, przyłożył nagan do czoła i krzyczał: „gdzie muż”. Pozostali dokonywali rewizji. Zawartość szaf, szuflad wywalano na podłogę. Szukano kosztowności, broni. Nam polecono zbierać się do wyjazdu. Nie zezwolono na zabranie dokumentów. Później do zbierania rzeczy na wyjazd przyłączyła się również i matka. Do matki podszedł stary żołnierz i w odruchu litości szepnął na ucho: „mać biery

pobolsze, jedziesz w nieizwiesznoje”. Przeprowadzając rewizję w obejściu gospodarskim wypuszczono na podwórze krowy gęsi, świnię. W tym momencie matkę coś natchnęło. Wystawiła na podwórze jądło dla gęsi i ta, która pierwsza zbliżyła się została schwyтана. Skręcono szyję i schowano do worka. Ta gęś, a właściwie jej sadło uratowało nogi brata. Po godzinie, a może i więcej zaprzężono w nasze sanie konia i wsadzono do nich matkę, brata, siostrę i mnie. Na drodze wiodącej do stacji kolejowej „Siniawka” utworzyła się kolumna sań. Tak rozpoczynała się nasza wędrówka w nieznaną trwającą 6 lat.

Na stacji załadowano nas do wagonów bydłych. Wewnątrz piętrowe prycze i żelazny piecyk tzw. koza. Było bardzo ciasno, upchnięto nas około 80 osób a każda rodzina ma bagaż. Wreszcie zamknięto drzwi wagonu i zadrutowano z zewnątrz. Po kilku godzinach, a był już świt, pociąg ruszył. We wszystkich wagonach rozległ się płacz i szloch, w kościołach biły dzwony i żegnały nas na długie lata, a nawet na zawsze.

Dojechaliśmy do Baranowicz - otworzono drzwi, dano trochę wody, której nie wystarczyło dla wszystkich i trzeba było zeskrobywać szron z metalowych części wagonu.

Tutaj była szansa ucieczki, ale serce matki nie pozwoliło zostawić syna z odmrożonymi nogami. A więc jedziemy dalej na wschód. W wagonach ściany nieszczelne, wieje, brak opału, zimno coraz bardziej daje znać o sobie w miarę posuwania się na wschód. Nie ma też toalety. Mężczyźni wyrabiają w podłodze wagonu otwór, improwizuje się parawan. Matka topi gęsi tłuszcz i bez przerwy smaruje obrzęknięte w sinoczarnych pęcherzach nogi brata. Z Baranowicz poprzez Mińsk, Moskwę dojeżdżamy do Wołody, a następnie do stacji Wielsk. Ale to nie koniec podróży. Tu przesadzają nas na sanie i tak jedziemy zamrażającym korytem rzeki od osiedla do

osiedla z przerwą nocną. Wokół cisza, mróz i ośnieżona, nieprzyjazna tajga. Z trudem posuwamy się w głębokim śniegu. Podróż saniami trwała około 7 dni nim dotarliśmy na miejsce. Część transportu poszła dalej do posiołka - łagru Wieruskoje. Nasz posiołek - łagier nazywał się KUBAŁO p-ta i sielsowiet Biestużewo, Ustiański rejon Archangielskaja Oblaść.

Jest już marzec 1940 r.

Rozlokowano nas do baraków, które zbudowali nasi poprzednicy. Byli to Ukraińcy, którzy nie chcieli wstąpić do kolchozów. Wg opowiadań miejscowej ludności przywieziono ich zimą w 1929 roku, wysadzono w lesie na śnieg i tak pozostawiono. Ci, którzy przetrwali pobudowali ziemianki oraz ww. baraki. Baraki zrobione z bali drewnianych uszczelnionych mchem, we wszystkich przez sam środek biegł korytarz i było po 2 wyjścia. Po obu stronach korytarza były izby. W izbach porobione prycze. Każda izba w zależności od wielkości mieściła kilka rodzin. W izbach nie ma oświetlenia. Wieczorami paliło się łuczywo. Były to cieniutkie listewki z brzoźowego lub sosnowego drewna, które zapalało się i wsuwano w zrobiony uchwyt. Było trochę dymu, ale za to mniej dokuczały komary. Był również piec, wąski i wysoki, nie dawał dostatecznej ilości ciepła, nie można było wysuszyć odzieży przemoczonej w lesie. Wodę czerpało się z rzeki. Następnego dnia po przybyciu na posiołek w każdym baraku wybrano starostę. On każdego wieczoru i ranka liczył nas i zdawał raport komendantowi posiołka - łagru. Komendant nosił nazwisko Czerniajew. Utworzono również robocze brygady, wydano żywność - tj. 500 gramów czarnego, gliniastego chleba, talerz wodnistej owsianki. Każdy pracownik otrzymał: piłę, siekiere i łopate. Tak „uzbrojone” brygady popędzono do wycięcia lasu. Po pracy narzędzia oddawało się do naostrzenia. Robił to tzw. „piłostaw”. Sama praca w lesie polegała na odgarnięciu śniegu u podstawy drzewa (czasami na głębo-

kość półtora do dwóch metrów), ścięcia (robiły to dwie osoby ręczną piłą) następnie odcięciu gałęzi, okorowaniu i przewiezieniu na brzeg rzeki, ułożeniu w stopy – przymy, przygotowane do wiosennego spławu, do którego wypędzano wszystkich zesłańców. Kloce zrzucone do rzeki bardzo często tworzyły zatory. Ich likwidacją zajmowali się mężczyźni - płynęli tratwą i bosakami rozdzielali kloce. Praca przy wyrębie lasu była bardzo ciężka - głęboki śnieg, mróz dochodzący do 40-50° C. Bardzo biedne były kobiety, które pracowały na samym początku w spódnicach, często nie mając ciepłych majtek. Spódnice szybko mokły, zamarzały i tworzyły parasol - klosz, który ranił i ocierał uda i kolana. Były odmrożenia, zapalenie pęcherza moczowego. W lesie również musiały pracować starsze dzieci. Porządkowały teren - ściągały na stopy i paliły gałęzie. Mój starszy brat w zimie pracował przy wyrębie. Ścięte drzewo ciął na klocki długości 1 m, które po porąbaniu układał w tzw. kubometry. W lecie oczyszczał koryto rzeki z krzaków nadbrzeżnych, karczował las i pracował w cegielni. Małe dzieci miały obowiązek chodzić do szkoły. Nauczycielami byli: Maria Iwanowna (nazwiska nie pamiętam) oraz nauczyciel o nazwisku Wołow.

Przy wyrębie lasu pracowała również moja matka. Po paru miesiącach od ucisku siekiery i piły na palcach obu rąk tworzą się zastrzały kostne. Rany nie chcą się zagoić. Z wydzieloną ropną wychodzą kawałeczki kości. Jest niezdolna do pracy. Karą za niestawienie się do pracy jest pozbawienie nas (całą rodzinę) przydziału zupy i chleba - jedyne pożywienie. Głodujemy przez kilka dni. Zdesperowana matka pisze skargę na władze łagru. I o dziwo, skarga została uwzględniona, wydano żywność. Rany palców z trudem zagoiły się, ale powstały przykurcze palców, tworząc tzw. haczyki. Z chwilą nastania lata zostaje przeniesiona do pracy w cegielni. Tu praca wyglądała tak: bosymi nogami, niczym ciasto, miesiło się

glinę, którą uprzednio trzeba było nakopać i przynieść na tzw. nosilkach. Następnie gołymi rękami gliniaste „ciasto” ubijało się w drewnianej formie i przenosiło się do suszenia na wiatę. Po wysuszeniu była wypalana i używana do budowy pieców w nowych barakach.

Za pracę przydział chleba i zupy był następujący:

- Stachanowcy - wszyscy, którzy wyrabiali normę oraz ci, którzy dobrowolnie przyjęli obywatelstwo sowieckie otrzymywali:
500 gr. chleba + 2 zupy (owsianka) rano i wieczorem.
- Pozostali mężczyźni pracujący:
400 gr. chleba + 1 zupa wieczorem.
- Kobiety pracujące:
350 gr. chleba + 1 zupa wieczorem.
- Dzieci i pozostałe osoby:
300 gr. chleba + 1 zupa wieczorem.

Przez okres 2 lat mięso w stołówce było tylko przez 2 dni. Każdy pracujący otrzymał kawałeczek mięsa (wielkości kostki cukru) tylko dzięki myśliwym, którzy upolowali niedźwiedzia. Przywieziona przez nas żywność szybko wyczerpała się, handel wymienny odzieżą ustał. Zaczęła nękać nas głód, który nie opuszczał nas ani na chwilę przez cały czas pobytu na Syberii tj. przez 6 lat. Bez przerwy chodziliśmy głodni. Jedynym marzeniem nas wszystkich zesłańców było - najeść się do syta chleba, chleba, chleba naszego powszedniego. Głód powodował postępujące odczłowieczenie, zacierają się uczucia rodzinne. Zaczęła się walka o przetrwanie. Nadchodzi wiosna, wygłodzeni ludzie zbierają spod śniegu borówki oraz grzyby (smardze), po zjedzeniu których u wielu osób wystąpiło zatrucie i zaburzenia psychiczne.

Latem w lesie zbiera się czarne jagody, dzikie maliny, grzyby jadalne. Rzeka dostarcza niewielkie ilości białka w postaci złapanych ryb. Łąka daje szczaw, komosę, lebidę i pokrzywę. Ale to wszystko nie

wystarczało. Wyczerpująca ponad siły praca, złe monotonne odżywianie zaczyna dawać rezultaty. Na górze za rzeką zaczyna szybko rosnąć kopczyki z krzaczami. Ludzie coraz słabsi, prawie wszystkim zaczęły bezboleśnie wypadać zęby z powodu „cyngi”. Na ramionach i podudziach powstawały głębokie, niegojące się i bardzo cuchnące owrzodzenia tzw. „sibirska jazwa”. Zaczęłam chorować i ja. Słabłem, nie miałem siły chodzić, bez przerwy biegunka, zacząłem tracić wzrok.

Żeby mnie ratować i uzyskać jakąkolwiek pomoc matka zaniosiła mnie na swoich plecach do Biestuzewa odległego od łagru około 15 km. Jej zawdzięczam ocalenie i to, że nie przeniosłem się na górkę za rzekę.

Poza ww. „przyjemnościami” nocną plagą były pluskwy i prusaki - żarły nas niemilosiernie. Do ich zwalczania mieliśmy tylko gorącą wodę. Natomiast w czasie dnia plagą były niezliczone chmary komarów i maleńkie muszki. Potrafiły one wcisnąć się wszędzie. Po ugryzieniu zostawało silne swędzenie, a następnie owrzodzenie. Rozpleniły się szczury, zapanowała ogólna wszawica, pojawił się świerz. Jedynym lekiem na niego był dziegieć. Każdy kto zachorował lub uległ wypadkowi w lesie był zdany na własny los.

W pierwszym okresie po przybyciu do łagru byliśmy całkowicie odcięci od świata. Zabroniono pisania listów do rodziny. Zakaz ten cofnięto dopiero po kilku miesiącach. Zaczęliśmy pisać listy i otrzymywać paczki żywnościowe. Dzięki tym paczkom duża część ludzi przetrwała, między innymi i my (matka, brat, siostra i ja). Nasza ciocia (siostra mamy) słała nam co tylko mogła. Były to: kasza, mąka, tłuszcze, suszone sery, cebula, odzież, która była natychmiast wymieniana na żywność (kartofle, cebula). Paczki wysyłał i ojciec, i wujek ze Szwajcarii. Dochodziły do Moskwy i wracały z powrotem po wybuchu wojny sowiecko - niemieckiej. Te paczki później będą dowodem oskarżenia matki o szpiegostwo. Po-

mimo ciężkich warunków i przygnębienia nikt nie upada na duchu. Elementem dodającym otuchy są wszelkiego rodzaju wróżby. Pani Jurkiewiczowa codziennie kładzie karty, z których wynika, że długo nie będziemy gościć w łagrze, że wkrótce wyjdziemy. I tak też się stało. Spędziliśmy na posiołku - łagrze ponad 2 lata. Jesienią 1941 roku dociera do nas wiadomość o wybuchu wojny i zawarciu układu polsko - sowieckiego, i że objęła nas amnestia.

Jesteśmy wolni, możemy zostać lub wyjechać. Wtedy zaczęły się wyjazdy. Mężczyźni gremialnie wstępowali do Armii Polskiej, za nimi podążały ich rodziny.

Posiołek - łagier opustoszał. Zostali ci, którzy dobrowolnie przyjęli obywatelstwo sowieckie i my. Nie możemy wyjechać z braku dokumentów, a także z braku pieniędzy. Pomimo tych trudności decydujemy się na ucieczkę. Matka sprzedaje jedyną pierzynę i kilka drobnych rzeczy (np. beczka drewniana). Nasz dobytek to to, co mamy na sobie. Wynajęty i przekupiony kołchoźnik wiezie nas do stacji kolejowej Szagały odległej o 200 km. Tu zatrzymuje nas NKWD, gdyż jak wspomniałem nie mieliśmy dokumentów i uciekliśmy z posiołku. Nakładają na nas areszt i kierują na kwatery do kołchoźnicy. Jest jeszcze zima, nie mamy co jeść, ale jest schronienie przed chłodem i mrozem.

Zaczyna się dla nas ciężki okres. Po kilku dniach nic nie jemy. Starszy brat chodzi od chaty do chaty i żebrze o kawałek chleba. Ja z siostrą z braku obuwia siedzimy u kołchoźnicy na piecu. Matka robi co może, ale bezskutecznie. Na dodatek odmówiono nam kartek na chleb i żupę. Jedna z kołchoźnic doradziła mamie, ażeby poszła do najbliższej rzeźni, która znajduje się około 12 km bo tam można było dostać trochę krwi. Zagotowana nadaje się do jedzenia. Zmuszona głodem robi to.

Pewnego dnia w zawieję brnęła po kolana w śniegu niosąc kociołek krwi. Nagle za sobą usłyszała dzwoneczki. Usunęła się z

drogi. Nadjechały sanie a w nich sam naczelnik NKWD, ten sam, który nie zezwolił na dalszą jazdę i odmówił wydania kartek na żywność. Poznał mamę i zawołał: „Szymanską odkuda idziesz?”. Z „bojni” - odpowiedziała matka. „Czto tam niesiosz?”. „Kriow” - odpowiedziała matka i podsunęła do twarzy naczelnika kociołek skrzepłej krwi. „Etim pitaju dzieciej”. „Szadziś na sanki a zawtra przyjdź ko mnie”. Następnego dnia matka podreptała do naczelnika, otrzymała kartki na żywność.

Na możliwość wyjazdu czekaliśmy około 3 tygodni - bezskutecznie. Brat często wychodził na stację i widział ludzi wsiadających do podstawianych wagonów i odjeżdżających w kierunku Wielska. Matka ciągle prosiła odjeżdżających ludzi o zawiadomienie polskich placówek o naszej sytuacji. Ale żadna pomoc do nas nie dotarła. Przez odjeżdżających sąsiadów pp. Wojnę i Jarmolińskiego mama przekazuje list z prośbą o doręczenie go do najbliższej polskiej placówki.

W tym czasie do Szangały dojeżdża p. Horbaczewska z rodziną. Wtedy mama decyduje się na powtórny ucieczkę i jazdę bez zezwolenia i dokumentów. W ostatniej chwili zachęceni przez ludzi z sąsiednich wagonów wsiadamy i za chwilę pociąg rusza.

Stacja, która zapoczątkowała drogę do wolności nazywała się Szangały i wybudowana została rękami łągierników. Jedziemy przez Wielsk, Konosze, Kotłas do Wołog-

dy. Tutaj po raz pierwszy od przedstawicieli Rządu Londyńskiego otrzymujemy gorący posiłek, żywność, odzież. Czekamy na zbiorowy pociąg jadący na wschód, a tymczasem nocujemy na dworcu w ogromnym ścisku i tłoku. Panująca wszawica sprzyja szerzeniu się tyfusu. Śmiertelność jest duża, jeden zaraża drugiego, wszy zmarłego przechodzą na żywego. Rano stwierdza się, że noc spędziło się leżąc obok zmarłego lub opierało się na nim swoją głowę.

Po kilku dniach formuje się pociąg. Wagon tak samo jakimi nas wywożono, wewnątrz takie same prycze. Ruszamy. Na większych stacjach dostajemy gorące posiłki, chleb, pomoc lekarską. Organizują nam też tzw. „san - obrabotku”. Było to specjalne pomieszczenie do tępienia wszy za pomocą wysokiej temperatury. Pomimo lepszego odżywienia, walki z wszawicą nas Polaków zaczyna atakować tyfus. Epidemii tę pogłębiają leningradczycy, którzy po przerwaniu oblężenia miasta - wynędzniali, głodni, schorowani, wywożeni są na tyły kraju. Pociąg wiozący nas i leningradczyków zatrzymuje się przed każdym większym miastem. Ekipy sanitarne zabierają chorych, zmarłych układało się wzdłuż torów. Gdzie oni są pochowani wie tylko jeden Pan Bóg.

Jedziemy przez miasta Kirów, Mołotow. Tutaj do szpitala zabierają mojego starszego brata i ślad po nim ginie. My jedziemy dalej - matka, siostra i ja.

Na stronie 56 prezentujemy, sporządzony przez autora, odręczny plan osady Kuchczyce. Wymienieni osadnicy zostali wywiezieni z autorem 10 lutego 1942 roku. Rodziny zaznaczone ciemniej przebywały na posesioku – łągrze KUBAŁO.

W drugiej części wspomnień przedstawimy państwu plan posesioku Kubało, Ustiański rejon, Archangielskaja obłaść oraz plan izby baraczej gdzie mieszkał autor.

c.d. wspomnień w następnym numerze KS

